



Eliza Orzeszkowa

DOBRA PANI



DOBRA PANI

Eliza Orzeszkowa

Prowadzone za rękę przez Janową, żonę mularza, weszło maleństwo do pięknego salonu pani Eweliny Krzyckiej i wylękłe, i zachwycone, drobnymi kroczkami drepczące po śliskiej posadzce, gotowe - stosownie do okoliczności - wybuchnąć płaczem albo i śmiechem. Koralowe usteczka drżały i krzywiły się do płaczu, wielkie, szafirowe źrenice paliły się od zdumienia i ciekawości, a ślicznie wykrojone czoło otaczały gęste, gęste włosy z barwą i gorącymi połyskami ciemnego złota. Była to pięcioletnia dziewczynka, bardzo ładna. Obok prowadzącej ją barczystej i silnej kobiety, w swej perkalowej, długiej aż do ziemi sukieneczynie przypominała białawego motyla ze zwiniętymi skrzydłami. O kilka kroków od progu drgnęła z przestachu i już, już krzyknąć miała wniebogłosy zapewne, lecz nagle wrażenie trwogi ustąpiło snadź przed uczuciem radości, bo gwałtownie wrywając rękę swą z grubej dłoni Janowej i przysiadając na posadzce, ze śmiechem i czułością niezmierną wołać zaczęła:

- Ciucia! ciucia!

Pierwsze spotkanie, groźnie zrazu zapowiadające się, przybrało charakter całkiem przyjacielski. Malutki pinczerek, który rzucił się był na wchodzące osoby z zajadłym i piskliwym szczekaniem, stanął przed siedzącym na ziemi dzieckiem i wpatrywać się w nie zaczął parą czarnych, błyszczących, pojętnych oczu. Dziecko zatopiło w śnieżnej ogromnej jego sierści dwie malutkie, czerwone rączki. Lecz w tejże chwili nad dwojgiem zaznajamiających się z sobą istot stanęła kobieta około czterdziestoletnia, jeszcze piękna brunetka, wysoka i czarno ubrana. Mularzowa schylona we dwoje całowała białą jej rękę.

- Helka! czemuż wielmożną panią w rękę nie całujesz! Patrzcie ją! Z psem się już bawi! Niech wielmożna pani nie gniewa się na nią! To jeszcze takie głupie!

Ale pani Ewelina gniewać się ani myślała. Przeciwnie, czarne oczy jej, pełne ognia i czułości, z wyrazem zachwycenia tkwiły w twarzączce dziecka, którą Janowa grubą swą ręką ku niej wznosiła. Helka miała teraz łzy w szafirowych źrenicach i obydwoma rękami trzymała się spódnicy Janowej

- Robiliśmy, wielmożna pani, dla dziecka tego, cośmy mogli, ale zwyczajnie u biednych ludzi, grzeczności nie nauczyła się... Ot, teraz dopiero Pan Bóg los jej zsyła... sierocie!

- Sierota! - ze wzruszeniem powtórzyła pani Ewelina i pochyłona nad dzieckiem chciała zapewne wziąć je w ramiona. Lecz nagle cofnęła się. Wyraz litości twarz jej okrył.

- O! Biedactwo. Jakże to ubrane! - zawołała - sukienka długa aż do ziemi...

Zaśmiała się.

- A koszula jaka gruba i włosy!... Ona ma cudowne włosy, ale któż to takiemu dziecku spleta warkocze!... Trzewiczki jakie grube i bez... bez pończoszek...

Wyprostowała się, palcem dotknęła srebrnego dzwonka, na przeciągły, ostry dźwięk którego Helka zaśmiała się, a Janowa szeroko otworzyła oczy.

- Panny Czernickiej! - rzekła krótko do zjawiającego się w drzwiach lokaja.

W mgnieniu oka pośpiesznym bardzo krokiem weszła kobieta trzydziestoletnia, w czarną, obcisłą suknię ubrana, wysoka, chuda, z cerą ciemną i zwiędłą, z czarnymi włosami spiętymi z tyłu głowy wysokim sztyldkretowym grzebieniem. Od progu bystre jej oczy obrzuciły mularzową i przyproawdzone przez nią dziecko chmurnym wejrzeniem, lecz gdy znalazła się o kilka kroków od pani swej, wzrok jej zabłysnął najpiękniejszą pogodą, a na wąskich, zwiędłych wargach osiadł pokorny i przymilający się uśmiech. Pani Ewelina, ożywiona bardzo, zwróciła się wnet do niej:

- Moja Czernisiu, widzisz, to owo dziecko, o którym wczoraj ci mówiłam. Przypatrz się tylko! Co to za rysy... jaka delikatność cery... a oczy... włosy... gdyby tylko troszeczkę utyłła i nabrała rumieńców, można by ją drugiemu jakiemuś Rafaelowi za model do cherubinka przedstawić... Przy tym sierota! wiesz, jakim wypadkiem znalazłam ją u tych poczciwych ludzi... w takim smutnym domostwie... wilgotnym, ciemnym... Z aświeciła mi tam przed oczami jak perła na śmietniku... Bóg mi ją zesał... Ale, moj a Czernisiu! trzeba ją wykąpać, uczesać, ubrać... Zmiłuj się! Za godzinę, za dwie najdalej, niech mi to dziecko zupełnie inaczej wygląda...

Czernicka uśmiechnęła się rozkosznie, ręce u piersi gestem zachwycenia spletała, na znak pospiesznego przytwierdzenia wszystkiemu, co pani jej mówiła, głową trzęsła. Pani Ewelina była w humorze wyborbnym. W wyborbnym też humor wpadła chmurna i posepna u wejścia panna służąca. Jak wprzódy Helka przed pieskiem, tak teraz ona przed Helką na ziemi przysiadła i do dziecka, dziecinne szeplenienie naśladowując, szczebiotać zaczęła. Potem z trudnością wielką, lecz starannie ukrywając, pochwyciła Helkę w swe suche, sprężyste ramiona, znad ziemi uniosła, do piersi przycisnęła i twarz jej świszczącymi pocałunkami okrywając z salonu ją wyniosła. Pani Ewelina, rozpromieniona i od

łez rozrzewnienia za ledwie wstrzymać się mogąca, przez chwilę jeszcze rozmawiała z Janową, która niezmierną dobrocią, jej ośmielona i także rozrzewniona płakała i po raz wtóry opowiadała historię Helki, sieroty po krewniaku jej, tak samo jak mąż jej mularzu, który z rusztowania spadłszy zabił się na śmierć, po czym prędko i żona jego, a Helki matka, z cholery umarła. Sierota po ojcu i matce! Obie kobiety, wdowa po bogatym panu i żona mularza, rozrzewniły się do łez na dźwięk tego słowa. Pani Ewelina chwaliła bardzo Jonowej i mężowi jej uczucie chrześcijańskiego miłosierdzia, z jakim przytuliła do siebie to biedne, a takie śliczne dziecko; Janowa sławiąc dobroć i miłosierdzie pani Eweliny, dziecko to pod stałą opiekę swą przyjmującej, policzki swe, i bez tego czerwone, do krwistej barwy rękawem lustrynowego kaftana natarła. Skończyło się na tym, że mularzowa byłaby na klęczki przed panią Eweliną upadła, aby skraj sukni jej, niby świętej, ucałować, lecz pani Ewelina powstrzymała ją słowami, że przed Bogiem tylko na klęczki upadać trzeba, po czym prosiła mularzową, aby wzięła od niej kilka rubli na cukierki dla dzieci swoich. Teraz Janowa zaśmiała się przez łzy rubasznie i wesoło.

- Dam ja im cukierki! - zawołała - albo to pańskie dzieci, żeby im cukierków trzeba było! Jeżeli już wielmożna pani tak łaskawa, to za pieniądze te sprawię Wickowi buty, a Marylce i Kaśce chusteczki na głowy...

Na koniec pożegnały się. Janowa w powrocie do chaty swej ze dwadzieścia razy zatrzymała się na ulicach miasta, przed dwudziestu napotkanymi osobami sławiąc anielską dobroć i miłosierdzie pani Eweliny. Pani Ewelina zaś po odejściu Janowej osunęła się na kanapę i wsparła na białej dłoni czoło obciążone tęskną i zarazem rozkoszną zadumą. O czym myślała? O tym zapewne, że Bóg w nieprzebranej dobroci swej zesłał na mroczną i chłodną drogę jej życia ciepły i jasny promień słońca... Promieniem tym miała jej być odtąd śliczna ta sierotka, wypadkiem wczoraj znaleziona, a dziś za córkę przybrana... O, jakże ona kochać będzie to dziecko! Czuje to po przyspieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle napełniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, taki grobowy chłód ją ogarniał. Już, już zastygnąć, zestarzeć, w martwą apatię lub w ciemną melancholię wpaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że wśród najgłębszej nawet niedoli ufności w czuwanie to tracić nie należy... Byleby Czernisia prędko oczyściła i ubrała tego aniołka...

Ta zaduma pani Eweliny przerwana została przez dwie kosmate łapki, które wpinając się na jej kolana zaplątywały się w koronki jej sukni, a ostrzem pazurków dosięgały jej ręki. Obudzona, wzdrygnęła się i gniewnym gestem odtrąciła od siebie natrętnego pieska. On gniew jej wziął za wesołe żarty. Zbyt długo snadź był kochanym, aby móc łatwo w odtrącenie uwierzyć. Zaskomlił radośnie i znowu kosmatymi łapkami darł koronki i drapał ałasową rękę swej

pani. Tym razem poskoczyła z kanapki, zadzwoniła.

- Panny Czernickiej! - rzekła do zjawiającego się Lokaja.

Czernicka wbiegła zdyszana, z rumieńcami na ciemnych policzkach, z rękawami czarnej sukni zawiniętymi po łokieć.

- Moja Czernisiu! weź, proszę cię, Elfa i niech on tam przy tobie w garderobie zawsze już będzie. Drze mi koronki, nudzi mnie...

Kiedy panna służąca schyliła się, aby wziąć pieska, na wąskich wargach jej przemknął uśmiech szczególny. Było w nim trochę szyderstwa, trochę smutku. Elf warknął, cofnął się i przed ujmującymi go kościstymi rękami uciec Chciał na kolana swej pani. Ale pani Ewelina usunęła go z lekka, kościste zaś ręce pochwyciły tak mocno, że aż zaskomlił. Czernicka bystre spojrzenie przez mgnienie oka zatopiła w twarzy swej pani.

- Jaki ten Elf zrobił się nieznośny... - szepnęła nie bez pewnego wahania w głosie.

- Nieznośny! - powtórzyła pani Ewelina i z gestem niechęci dodała: - Nie pojmuję już, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne stworzenie...

- O! On był kiedyś wcale innym!

- Nieprawdaż, Czernisiu, wcale był innym. Był kiedyś prześlicznym... Ale teraz...

- Teraz zrobił się nudnym...

- Okropnie nudnym... - Weź go do garderoby i niech się już nigdy nie pokazuje w pokojach...

Czernicka była już u progu, gdy usłyszała znowu:

- Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem pokornym i przymilnym uśmiechem.

- Cóż tam z naszą małą?

- Wszystko będzie wedle rozkazów pani. W łazience wanna już gotowa, Paulina kąpać będzie Helkę...

- Panienkę! - od niechcienia przerwała pani Ewelina.

- Panienkę... Ja kroję sukienkę z tego błękitnego kaszmiru, co to w komodzie...

- Wiem, wiem...

- Kazimiera pobiegła do sklepu z obuwem, Janka posłałam do sklepu z gotową bielizną... sukienkę choć sfastryguję tymczasem... tylko proszę panią o koronki, wstążki i pieniądze na wszystko...

Koronek, wstążek, tiulów, gaz, kaszmirów, atłasów pełno było w szafach i komodach napełniających sobą kilka pokoiów obszernej i pięknie urządzonej willi pani Eweliny. Czernicka dość długo otwierała i zamykała szafy i szuflady, nie przestając przecież ani na chwilę ścisnąć w dłoni banknotu sporej wartości. Potem był w garderobie wielki gwar zażartego targowania się i kupowania; potem jeszcze spora część wyjętych z szaf i komód przedmiotów, jako też część wartości rozmienionego banknotu znikły w przepaścistym kufrze stanowiącym osobistą własność panny służącej. Na koniec z wypogodzoną twarzą, widocznie zadowolona zyskiem z przybycia do domu sierotki otrzymanym, pospiesznie zaczęła ona fastrygować i szpilkami upinać naprędce sporządzoną sukienkę. Nazajutrz dopiero krawcy, szewcy i szwaczki rozpocząć mieli formalną robotę około garderoby panienki. Tymczasem zaś panienka ta, wykąpana już i uczesana, lecz jeszcze w grubej koszulinie swej i z bosymi nóżkami, siedziała w pokoju Czernickiej na ziemi i wśród najczulszych pieśczoł z Elfem zapominać zdawała się o całym świecie

O całym świecie też zapomniała utopiona w głębokiej zadumie pani Ewelina. Zadumy tej nic już teraz nie przerywało. W obszernym salonie, świetnym od przystrajających go zwierciadeł, obrazów i pąsowych adamaszków, panowała cisza głęboka. Przez wpółotwarte portiery widać było kilka większych i mniejszych pokoiów, pogrążonych również w ciszy i półcieniu. Ukośne promienie zachodzącego letniego słońca wnikając przez szczeliny zapuszczonych żaluzji ślizgały się tu i ówdzie po ścianach, kobiercach i złożonych ramach obrazów. Zza okien dochodziły wonie rozkwitłych róż i świergoty ptactwa, w głębi domu, w sali jadalnej, z cicha pobrzękiwały ustawiane do wieczery naczynia.

Pani Ewelina dumiała o swej niedoli. Nie przesadzała bynajmniej myśląc, że jest bardzo nieszczęśliwa. Istotnie, wdowa od lat wielu, bezdzietna, z sercem gorącym a samotnym, nie była nawet tak bogatą, aby móc zawsze przebywać tam, gdzie życie przedstawiało dla niej najwięcej jeszcze uroków, a najmniej smutków i znudzenia. Majątek jej był wprawdzie znacznym, nie tyle jednak, aby kłopoty i interesy różne nie przykuwały ją niekiedy i na czas pewien do tak brzydkiego, smutnego, nudnego miejsca, jakim jest Ongród. Teraz szczególnie z pięknymi i obszernymi dobrami, posiadanymi przez nią w okolicach Ongródu, stało się coś niezwykłego. Były tam jakieś umowy do zawarcia, jakieś długi do spłacenia, jakieś nieuniknione gospodarskie wydatki do poniesienia - a wszystko to odejmowało pani Ewelinie wszelką możliwość wyjechania za granicę

albo przynajmniej zamieszkania w największym z miast krajowych. Przebywała więc tu blisko już dwa lata, lata ciężkie, nużące. Obca wszystkiemu i wszystkim, otoczona prozaicznymi widokami małego miasta, tęskniąca do wzniosłych artystycznych uciech, które stanowiły dotąd największy urok jej życia, a których naturalnie tu całkiem pozbawioną była, żyła ona jak pustelnica, zamknięta w willi swej z obrazami swymi, fortepianem, Czernisią i Elfem. Życie jej tu o tyle czyste było, o ile smutne, a jednak spokój sumienia nie był zupełnym. Nie czyniła nic dobrego i wyrzucała to sobie często i gorzko. Żądza czynienia dobrze była jedną z najżywiej drgających strun jej ducha.

Dobroczynność sięgała w niej stopnia namiętności i wiele, wiele razy w życiu przynosiła jej uciechy moralne, zastępujące szczęście, którego nie zaznała nigdy. Lecz... bywało tak gdzie indziej. Tu nie wiedziała nawet, jak i co czynić, aby najgłębszą potrzebę szlachetnego serca swego zaspokoić. Wprawdzie kiedy niekiedy tym i owym dawała ona hojne jałmużny, ale nie czyniło to zadość sercu jej ani wypełniało czasu, ani zadowolić mogło sumienia. Ona w wielkich miastach przywykła do dobroczynności pracowitej, czynnej, pod wodzą światłych kierowników duchowych dokonywanej, a oddające się jej osoby prowadzącej na strychni wysokich kamienic, w ciemne suteryny, do przytułków i ochron, nad stoliki ze srebrnymi tacami w przedsionkach świątyń umieszczone itp. Niedostatek sposobów do wykonywania takiej właśnie dobroczynności dręcząc ją dolewał jedną więcej kroplę do gorzkiego jej kielicha. Nagle w Ongrodzie uformowano tak zwane Towarzystwo Dam Dobroczynnych. Pani Ewelina, jako najmajętniejsza zapewne mieszkanka miasta, do wzięcia udziału w czynnościach towarzystwa tego wezwaną została. Była to pierwsza radość, jakiej od lat dwu doznała. Będzie więc mogła czynić dobrze! Siły serca, których tyle czuła w sobie, znajdą dla siebie ujście jakieś! Oko jej zazna jeszcze roszącej je zazwyczaj na widok nędz ludzkich łzy litości i rozrzewnienia! O ucho jej obijają się dziękczynne i błogosławiące wyrazy tych, pośród których zjawi się niby anioł pomocy i pocieszenia! Stanęła na wezwanie natychmiast. Wskazano jej dzielnicę miasta, w której wyszukiwać miała ubogich. Szukając zaszła wypadkiem do domostwa zamieszkiwanego przez rodzinę mularza i zobaczyła Helkę. Dziecko przedstawiło się jej w malowniczej jakiejś pozie. Bawiło się podobno z psem czy z kotem, czy może siedziało przed progiem chaty oblane słońcem, które we włosach jej rozpalało ogniste błyski, czy może jeszcze, zdumione widokiem powozu, koni i pięknej, strojonej kobiety, stanęło w progu jak wryte i utkwilo w niej dwoje źrenic, w których ona dojrzała upalny szafir włoskiego nieba - dość że od razu wydało się jej niezwykłym, prześlicznym i że gdy przyłożyła usta swe do policzka dziecka, na którym istniały jeszcze ślady tylko co jedzonego krupniku ze słoniną, pomimo śladów tych serce jej uderzyło żywiej i na dźwięk wymówionego przez Jonową wyrazu: "sierota!" łza litości i rozrzewnienia zrosiła jej oko. Zapragnęła dziecka tego, zapragnęła go na wyłączną swą własność z zapałem i mocą duszy namiętnej, jak wulkan, a samotnej jak łódź na burzliwych przestworzach morza zbłąkana... Teraz

przedmiot ten pragnień jej był już pod jej dachem. Oddano go jej na zawsze i, zaprawdę, bez trudności! Teraz kochając dziecię to uspokoi tęskniące swe serce, a osłaniając je macierzyńskimi skrzydły zadowoli sumienie swe, rozkazujące jej czynić dobrze!... Lecz gdzież ona jest, prześliczna dziecina ta? Gdzie jest ten zesłany jej przez Opatrzność anioł pociechy i ukojenia? Dlaczego Czernisia nie przywodzi jej dotąd? Biedactwo! Jeszcze pewnie nie ubrane! Ale że umyte już i wykąpane, to pewna, trzeba by pójść do pokoju Czernickiej, uścisnąć je, ucałować, da serca przytulić...

Zerwała się z kanapki, biegła przez salon i w połowie drogi ze splecionymi u piersi rękami stanęła. W drzwiach przeciwległych ukazała się Czernicka, prowadząca za rękę Helkę, ale jakżeż zmienioną! Jakaż metamorfoza! Białawy motyl ze zwiniętymi skrzydłami przemienił się w świetnego kolibra. Różowe wstążki niby piórka czy skrzydełka pstrzyły błękitną sukienkę. Z puchów białych koronek wysuwały się okrągłe nóżki ociągnięte pończoszkami delikatnymi jak sieć pajęcza, a niknącymi w malutkich błękitnych trzewiczkach; ogniste włosy utrefione, woniejące trzymała w karbach opaska z szyldkretu. Strojem tym zachwycona i strwożona, wonią ulatającą z włosów jej i koronek upojona, Helka stała w progu salonu z ustami znowu do płaczu skrzywionymi, ze szczupłymi ramionami sztywnie w obawie zgniecenia sukni rozpostartymi w powietrzu, z oczami, które to spuszczały się ku cudownym trzewiczkom, to podnosiły się ku twarzy pani Eweliny nieśmiałe i wilgotne. Pani Ewelina poskoczyła i pochwyciwszy ją w objęcia, teraz dopiero okrywać ją zaczęła gorącymi pocałunkami. Patem poprowadziła dziecko do sali jadalnej, gdzie wraz z nim usiadła przy stole zastawionym piękną porcelaną i wybornymi przysmakami. W pół godziny patem Czernicka wchodząc do jadalni znalazła Helkę siedzącą na kolanach nowej swej opiekunki i zupełnie już z nią spoufaloną. Niezmierna dobroć i czułość pani Eweliny prędko bardzo wlały w serce dziecka śmiałość i ufność. Z policzkami trochę zatłuszczonymi, nie krupnikiem ze słoniną tym razem, ale ciastkiem z konfiturami, wyciągała ona malutki paluszek swój ku różnym nie znanym jej dotąd przedmiotom, o nazwę ich pytając:

- Co to? Pani, co to?

- Filiżanka - odpowiadała pani Ewelina.

- Filizianka... - z niejaką trudnością powtarzała Helka.

- A po francusku nazywa się to: la tasse!

- Tas, tass, tastastas! - szczebiotała Helka.

Kobieta i dziecko miały pozór istot doskonale szczęśliwych. Czernicka ze swą szklanką herbaty opuszczając jadalnię uśmiechała się w sposób sobie właściwy,

trochę szyderski, trochę smutny.

Takim był pierwszy dzień pobytu Helki w domu pani Eweliny, a po nim nastąpił długi, długi szereg dni podobnych lub może dla kobiety, zarówno jak dla dziecka, jeszcze szczęśliwszych. Bawiły się z sobą wybornie. W letnich miesiącach po ładnym ogrodzie willę otaczającym od rana do wieczora prawie fruwała dziewczynka do barwnego kolibra podobna. Drobne, wykwintnie obute jej stópki obiegały po żwirowanych ścieżkach klomby napełnione kwiatami; złotymi włosy okryta i ukwiecona jej główka przesuwiała się nad niskimi grupami zieleni jak napowietrzne, anielskie zjawisko. Szczebiot i śmiech dziecięcy rozbrzmiewał daleko, aż za żelazne sztachety przedzielające ogród willi od zamiejskiej ulicy. Pani Ewelina, na obszernym i ozdobnym ganku siedząc godzinami całymi, zapominała o książce trzymanej w ręku, ścigała wzrokiem malutką, lekką, strojną istotę, uchem łowiła każdy dźwięk szczebiotu jej i śmiechu, a czasem zbiegłszy ze wschodów ganku zaczynała gonić ją po ścieżkach ogrodu. Wtedy wśród tej dziecinnej zabawy, której całym sercem oddawać się zdawała, można było spostrzec najlepiej, ile sił i życia było jeszcze w tej już jednak niemłodej kobiecie. Policzki jej rumieniły się, czarne oczy płonęły, kibić nabierała zwinności i giętkości dziewczęcej. Gonitwa kończyła się zwykle rzuceniem się Helki na szyję pani Eweliny, wzajemnymi pieszczotami i długim przesiadywaniem na kobiercu murawy, wśród kwiatów; z których układały wspólnie bukiety i wieńce. Za żelaznymi sztachetami na chodniku ulicy przechadzający się mieszkańcy miasta zatrzymywali się często, usiłując przez otwory sztachet przypatrywać się ślicznej grupie, która wydawała się tym piękniejszą, że tłem jej był pałacyk malowniczo pośród ogrodu bielejący, a tym więcej rozrzewniającą, iż wiedziano powszechnie, że kobieta ta nie była matką tego dziecka. Dwie te istoty, obce sobie krwią, a tak ściśle z sobą spojone, najsilniejsze wrażenie wywierały w białe zimowe dni, gdy wchodziły do natłoczonego ludnością miejskiego kościoła. Na tę malutką, całą w atłasach i łąbędzich puchach, i na tę kobietę w sobolach i aksamicie zwracało się wtedy parę tysięcy oczu ludzkich. Różową teraz i wiecznie uśmiechniętą tę dziecinę porównywano do róży wychylającej się ze śniegu, lecz jakież porównanie znaleźć można było dla jej opiekunki? Nazywano ją po prostu: świętą! Taką opieką i miłością otoczyć dziecę obce, niskiego pochodzenia, sierotę! W taki sposób używać bogactwa swego! Była to istotnie godnym uwielbienia.

Uwielbiano też powszechnie panią Ewelinę, ilekroć łagodna i zadumana twarz jej przesuwiała się boczną nawą wspaniałej świątyni, a u drzwi kościelnych stojąca Janowa, zapałem porwana, całą siłą obu swych łokci rozpychała ściśnięty wkół niej tłum, z łoskotem na kalana padała i pocziwe, błękitne oczy swe topiąc w widzialnym jej szczycie wielkiego ołtarza, a rękawem świątecznej algierki łążę na czerwonej. twarzy rozcierając, głośno prawie wołała:

- A szczęście wiekuiste niech jej świeci na wieki wieków, amen.

Nierozłączne w dzień, nie rozstawały się też ze sobą i w nocy. Małe, rzeźbione z orzecha łożko Helki, istne arcydzieło stolarskiej sztuki, umieszczone było tuż przy łożku pana Eweliny. Na nim własnymi rękami opiekunki swej rozebrana i w batystową nocną koszulkę przyobleczona, na webowej, haftami okrytej pościeli Helka usypiała codziennie cichym, uśmiechniętym snem doskonale szczęśliwej istoty. Pani Ewelina układając ją do snu czyniła nad nią w powietrzu znak krzyża, po czym, gdy Czernicka układała kołdrę jej w malownicze draperie, mówiła:

- Jaka ona śliczna, Czernisiu!

- Jak aniołek - odpowiadała panna służąca.

Czasem Helka, nie śpiąca jeszcze, rozmowę tę słyszała, z białych puchów pościeli wybuchał głośny śmiech dziecięcy, przerywany wołaniem:

- Pani ślicznieszka! ślicznieszka! ślicznieszka!

- Co ona bredzi, Czernisiu! - z głębokim zadowoleniem uśmiechała się pani Ewelina.

- Co to za rozum w tej dziecinie! Jak ona panią kocha! - podziwiała Czernicka.

Przy tym przez całe dni i wieczory w salonie, w ogrodzie i w sypialni odbywała się wciąż prawie edukacja Helki. Pani Ewelina uczyła ją mówić po francusku, zgrabnie chodzić, siedzieć i jeść, ładnie ubierać lalki, gustownie dobierać kolory, do snu układać się w pozycji pełnej wdzięku, splatać rączki i oczy wznosić w górę przy modlitwie. Wszystkie nauki te udzielane i przyjmowane były wśród harmonii i przyjacielskości wzajemnej i zupełnej. Śród zabawy i żartów dziecko kształciło się prędko i wesoło, po roku pobytu w domu swej opiekunki Helka płynnie już szczebiotała po francusku, umiała na pamięć mnóstwo francuskich modlitewek i wierszyków, a gdy szła, biegła lub jadła, Czernicka, spoglądając na nią z podziwem, do pani swej mawiała:

- Co to za ruchy! Jaka gracia! Można doprawdy myśleć, że panienka urodziła się w pałacu...

- Tak ją już Pan Bóg obdarzył, moja Czernisiu - odpowiadała pani Ewelina.

Co jednak panią Ewelinę najbardziej w dziecku tym zachwycało, to szczególny zmysł piękna, który objawiał się w niej z dniem każdym wyraźniej. Istotnie, Helka nabierała do rzeczy wytwornych i pięknych zamiłowania z namiętnością graniczącego. Najlżejszą dysharmonię kolorów spostrzegała natychmiast, najlżejsza warstewka pyłu na podłodze dostrzeżona wstręt w niej budziła; wybornie już oceniała stopień piękności każdego sprzętu; gdy zmęczoną była i

chciała spocząć, umiała wybrać i samej pani domu wskazać sprzęt najwygodniejszy; parę razy gorzkimi łzami płakała, gdy przyniesiono jej trzewiczki nie tak piękne jak te, o jakich marzyła. Pani Ewelina z rozkoszą spoglądała na szybki ten rozwój estetycznych skłonności dziecka.

- Moja Czernisiu - mówiła - jaki ona ma popęd do wszystkiego, co piękne, jaka w niej delikatność natury i wrażliwość na każde dotknięcie zewnętrznego świata. Mój Boże! żebym ja ją mogła do Włoch zawieźć! Jakżeby to maleństwo szczęśliwym było pod tym ślicznym niebem włoskim, w tym rozkosznym klimacie, pośród tych cudownych widoków włoskiej natury...

Marzenie zawiezienia Helki do Włoch wzmogło się w pani Ewelinie bardziej jeszcze, gdy dnia pewnego odkryła w niej ona talent, ale to widoczny i wielki talent do śpiewu. Helka miała już wtedy skończonych lat osiem i przebyła w domu pani Eweliny blisko trzy lata. W pewien pogodny dzień jesienny, na chwilę samotną pozostawiona, siedziała na ganku pośród stosu nagromadzonych tam dla niej poduszek i ubierając lalkę, tak prawie dużą jak ona, w suknię piękniejszą jeszcze od tej, która ją przystrajała, nuciła. Nuciła jedną z francuskich piosenek, których mnóstwo umiała na pamięć. Stopniowo nucenie jej przechodziło w śpiewanie; lalka z rąk jej na poduszki upadła, a Helka z oczami utkwionymi w niebo, z rękami splecionymi u piersi donośnie i żałośnie wyśpiewywała:

*Le papillon s'envola,
La rose Blanche s'effeuilla,
La la la la la la...*

Głosik jej był istotnie czystym i silnym. istotnie też w gorąco kochanym i czule pieśczonej dziecku rozbudzić się musiała uczuciowość gorąca i rzewna, bo smutne losy białej róży opiewała z przejęciem i uczuciem takim, że aż drobna pierś jej wznosiła się wysoko, a na ciemnozłotej rzęsie błysnęła łza. Pani Ewelina, niewidzialnie spoglądająca na nią przez otwarte okno salonu, tonęła w zachwycie i od dnia tego zaczęła wieczorami uczyć ją muzyki.

Wieczorami w małym pokoju Czernickiej paliła się na stole lampa, zegar ścienny monotennie tętnił nad przepaścistym kufrem, zza firanek ukazywało się skromnie zasłane łóżko. Cicho tu było. Trzy garderobiane drzemały nad robotami swymi lub cichutko szeptały w przyległym pokoju; z głębi domu, z salonu załatywały pojedyncze, przeciągłe dźwięki poruszanych z kolei fortepianowych klawiszy, Niekiedy ozwały się donośnie przez panią Ewelinę wymawiane: f, g, h itd.; niekiedy gama dziecinnego śmiechu rzuciła tu parę nut srebrnych albo przyciszone odległością dało się słyszeć dziecinnie śpiewanie:

La rose blanche s'effeuilla,

La la la la la la la...

Na jasnym tle obfitego światła lampy postać panny służącej, wysoka, cienka, w obcisłą suknię ubrana, z wysoko sterczącym z tyłu głowy grzebieniem rysowała się w liniach ciemnych i ostrych. U nóg jej na miękkim, ładnym podnóżku w skurczonej i smutnej postawie leżał Elf. Ramiona jej suche, rękawami ociągnięte, i długie kościste ręce zwinnie i zgrabnie poruszały się około leżącej na kolanach materii. Szyła pilnie, lecz ilekroć odgłosy odbywającej się w sali lekcji muzyki przylatywały do niej, chmurny wzrok jej spływał na leżącego u stóp jej pieska; dotykała go z lekka końcem stopy i z właściwym sobie uśmiechem mówiła:

- Słyszysz? Pamiętasz? I ty kiedyś tam byłeś!

Wkrótce potem spełniło się pragnienie pani Eweliny; majątkowe interesy pozwoliły jej wyjechać na kilka miesięcy za granicę, powiozła do Włoch swoją Helę; Hela uprosiła o pozwolenie powiezienia z sobą Elfa. Czernicka pojechała także.

Po upływie kilku miesięcy, w piękny dzień letni, wilia pani Eweliny, przez czas nieobecności jej obumarła, ożywiła się znowu. W ogrodzie kwitły pyszne astry i lewkonie, salon jaśniał swymi zwierciadłami i pąsowymi adamaszkami, w sali jadalnej pobrzękiwały z cicha szkła i porcelany, pani Ewelina siedziała w salonie zamyślona bardzo, smutna nieco i tęskna. Helki przy niej nie było, ale z głębi domu od strony garderoby dochodziły chwilami dźwięki donośnego, wesołego jej głosu i śmiechu. Bawiła się w tej chwili wybornie. Czernicka siedząc na podłodze garderoby otwierała kufry podróżne, wydobywając z nich niezliczone przedmioty do niezliczonych użytków przeznaczone, trzy garderobiane zaś i mularzowa Janowa, stojąc dokoła w postawach pełnych ciekawości i zdumienia, przyglądały się z kolei panience i wydobywanym na jaw cudom europejskich rzemiosł. Wszystkie twierdziły jednogłośnie, że panienka bardzo urosła. Istotnie, Henia dosięgała wieku, w którym dziewczątka nabierają szczególnej i harmonię kształtów ich nadwerężającej długości nóg. Długie, cienkie te nogi, przybrane w bardzo ciasne i wysokie kamasze, czyniły ją trochę niezgrabną. Regularny owal jej twarzy nadwerężył się też nieco przez lekkie wychudnięcie, będące zapewne skutkiem długiej podróży; odkryte ramiona jej były chude i czerwone. Śliczne dziecko zaczęło przedzierzgiwać się w niezgrabnego podlotka, którego jednak rysy zapowiadały przyszłą piękność młodej dziewczyny.

Mularzowa uwiadomiona o powrocie pani i panienki przez jedną z garderobianych, u której to uprosiła, wydziwić się nie mogła naprzód małej krewniaczce swej, a potem rzeczom jej wydobywanym z dwu oddzielnych tłumoków. Przysiadła na ziemi obok Helki, która pokazywała jej i tłumaczyła

wszystko.

- Drugi kapelusz... - wykrzykiwała - trzeci... czwarty... o! dlaboga! Wieleż ty, Helko, masz kapeluszów?

- Tyle, ciotko, ile sukienek - tłumaczyła Helka - do każdej sukienki jest stosowny dla niej kapelusz...

- Co to za pudło?

- To neseser podróżny...

- Na cóż to?

- Jak to na co? Widzi ciotka, tu są różne przegródki, a w nich wszystko, co potrzeba, do mycia się, czesania się i ubierania... Oto grzebień, mydło, szczoteczki, szpilki różne, perfumy...

- Jezus, Maria! I to wszystko twoje?

- A moje! Pani ma taki sam neseser większy, a ja mniejszy...

W tej chwili Czernicka wydobywała z tłumoka lalki różnej wielkości, jako też i inne zabawki dziecinne najrozmaitszego rodzaju. Były tam prześliczne ptaki, gdyby żywe, osobliwe zwierzątka, gospodarskie przyrządy srebrnie i złoto połyskujące itp. Janowa usta szeroka otworzyła, zarazem oczy jej napełniły się smutkiem.

Mój Boże! - szepnęła z westchnieniem żeby to moje dzieciaki choć zobaczyć ta wszystko mogły...

Helka popatrzała na nią chwilę, zamyśliła się, potem żywa rzuciła się do swych zabawek i łachmanków, z ferworem wielkim niektóre z nich Jonowej ofiarowując.

- Weź, ciotka, tę sowę dla Marylki, a tę rybkę dla Kaśki... dla Wicia niech będzie może ta harmonika... do niej tylko dotknąć się trzeba, a zaraz bardzo ładnie zagra... Weź, ciotko, weź! Pani nie będzie gniewać się, pani taka dobra i tak mnie kocha... Weź jeszcze i tę różową chusteczkę dla Marylki, a dla Kaśki tę błękitną... ja takich chusteczek mam duża... bardzo dużo...

Janowa z oczami pełnymi łez pochwycić chciała krewniaczkę w swe potężne ramiona, lecz lękając się zgnieść strzępiaste i skomplikowane jej ubranie, grubą ręką swą tylko po atłasowej twarzyczce jej powiodła. Podarunków nie przyjęła stanowczo, ale podnosząc się z ziemi rzekła:

- Dobrze z ciebie dziecko! Choć na wielką panią urośniesz, ale biednymi krewnymi, którzy kiedyś przytulili cię do siebie, nie pogardzasz...

Gdy Janowa mówiła to, Czernicka, pochylana dotąd nad kufrem, wyprostowała się i prędko, dobitnie sarknęła raczej, niż wymówiła:

- Ej, moja pani Janowo! Kto to może wiedzieć, jakim jeszcze kiedyś będzie, wielkim czy małym?

Janowa nie odpowiedziała nic, z rozrzewnionym bowiem śmiechem oglądała się za Helką, która chichocząc i na swych długich nóżkach podskakując jak wesoła i zwinna kotka, kręciła się wkoło niej i wszystkie kieszenie odzieży jej cukierkami napychała.

- To dla Marylki - wołała - a to dla Kaśki, a to dla Wicka... a to, ciotko, dla wujaszka Jana...

I nagle wzdrygnęła się i posmutniała.

- Tutaj tak zimno! - nadąsanymi usteczkami wymówiła - we Włoszech daleko piękniej i milej... tam, ciągle słońce świeci... pogoda... takie piękne lasy pomarańczowe... My tu z panią długo nie wytrzymamy... pewno znowu pojedziemy tam, gdzie tak ciepło...

Czernicka wkładała już na nią miękki jak puch, ciepły paltocik, ale Helka wyrwała się z rąk jej.

- Aj! - zawołała - jak ja długo już pani nie widziałam: pójdę do pani! Adieu, ciotko!

I rzuciwszy rączką całusa Jamowej pobiegła w podskokach, nucąc donośnie:

- Pójdę do pani... do mojej drogiej... do mojej złotej... do mojej najmiłszej...

- Jak ona kocha swoją dobrodziejkę! - zwróciła się do Czernickiej Janowa.

Wieczoru tego pani Ewelina opłynięta zwojami białego peniuaru siedziała przed gotownią smutna i tęskna. Helka w rzeźbionym łóżeczku swym, wpółzakopana w puchach, batystach i haftach, głęboko już usypiała; na gotowni dwie świece dopalały się w wysokich lichtarzach; za fotelem pani Eweliny stała Czernicka, rozczesując i do nocnego spoczynku układając krucze jeszcze i długie włosy swej pani. Po chwili milczenia pani Ewelina ozwała się:

- Wiesz, moja Czernisiu, mam kłopot...

- Jakiż, z czym? - tonem pełnym czulej troskliwości zapytała pannasłużąca.

Po krótkiej chwili wahania pani Ewelina słabym głosem odpowiedziała:

- Z Helą!

Dość długo potem milczały obie. Czernicka z wolna lekko wodziła szczotką po kruczych, jedwabistych włosach. Twarz jej odbijająca się w zwierciadle gotowalni okryta była wyrazem zamyślenia. Po chwili ozwała się:

- Panienska... rośnie.

- Rośnie, moja Czernisiu... i trzeba by już myśleć o jej edukacji. Guwernantki do domu nie wezmę za nic, bo nie cierpię mieć w domu obce osoby... nie pojmuję, co uczynię.

Czernicka znowu milczała chwilę. Potem z westchnieniem wymówiła:

- Jaka to szkoda, że panienska nie jest już takim małym dzieciątkiem, jakim przybyła tu do nas...

Pani Ewelina westchnęła także.

- To prawda, moja Czernisiu, tylko takie małe dzieci są prawdziwie miłe i sprawiają rozkosz niezmaconą. Hela wyszła już z najmilszego dziecięcego wieku. Trzeba już ją uczyć, strofować...

- Spostrzegłam właśnie, że od jakiegoś czasu pani jest zmuszoną dość często strofować panienkę...

- Naturalnie; charakter jej zmienił się znacznie. Stała się kapryśną... dąsa się na mnie byle o co...

- Pani przyzwyczała panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci...

- To prawda. Rozpieściłam ją. Nie podobna jednak taką już dużą dziewczynę pieścić tak, jak kiedy była taką malutką, zgrabniutką... taką przytulną...

- Paniencie trudno dogodzić... Dziś rozgniewała się na mnie bardzo za to, że czesząc ją, mocniej trochę pociągnęłam pasemko włosów:..

- Doprawdy? Rozgniewała się na ciebie? Pamiętam, że i dawniej sykała często i rzucała się na krzesło, gdy ją czesałaś, ale dopóki była małą, było to bardzo zabawne i dodawało jej wdzięku... teraz stać się może nieznośnym. - Chciałabym mylić się, ale zdaje mi się, że... będzie złośnicą...

- Pani przyzwyczała panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci - powtórzyła

Czernicka. Umilkły. Czesanie włosów na noc miało się ku końcowi. Z twarzą schyloną nad głową swej pani, na której układała leciuchny nocny czepeczek, Czernicka cichszym znacznie i wahającym się głosem ozwała się jeszcze:

- Może pani w tych dniach będzie miała gości...

- Gości? Jakichże, moja Czernisiu? Kogo?

- Może ten pan przyjedzie, na którego koncercie pani była we Florencji i który potem przez kilka wieczorów tak ślicznie grał u pani...

Obłok rumieńca przepłynął po twarzy pani Eweliny, którą długa podróż i późna wieczorna godzina uczyniły podobną do zwiędłego kwiatu.

- Nieprawdaż, Czernisiu, że gra on prześlicznie? Jest to prawdziwy i wielki artysta!

Ożywiła się, głos jej stał się silniejszym, przygasłe przedtem oczy błysnęły.

- A jaki piękny! - szepnęła Czernicka.

- Nieprawdaż? O! Ci Włosi! Jeśli który z nich pięknym jest, to już pięknym - jak marzenia...

Marzącym krokiem przebyła przestrzeń dzielącą gotowalnię od łóżka, a gdy była już rozebraną i gdy Czernicka układała kołdrę w malownicze fałdy i draperię, marzącym głosem zaczęła:

- Moja Czernisiu! Zmiłuj się, dopilnuj, żeby wszystko w domu dobrze i ładnie uporządkować... Salon odświeżyć... tak jak to ty umiesz... bo ty masz wiele dobrego gustu i zręczności... Może... wypadkiem... ktokolwiek do nas przyjedzie...

Przez wiele następnych wieczorów pomiędzy panią Ewelina i Czernicką toczyły się przy gotowalni krótkie i urywane rozmowy.

- Czy zauważyłaś, Czernisiu, że Hela szpetnieje?

- Zdaje mi się, że panienka nie jest już tak zgrabną, jak była....

- Staje się całkiem niezgrabna... Nie pojmuję, skąd wzięły się u niej takie długie nogi... broda jej też wydłużyła się jakoś dziwnie...

- Zawsze jednak panienka jest bardzo ładna...

- Nie będzie tak ładną, jak można było spodziewać się przed paru laty... Mój Boże! Że też to ten czas leci, leci, leci i unosi z sobą wszystkie nadzieje nasze...

Nazajutrz jednak twarz jej jaśniała bardzo błogą nadzieją. Na gotowalni leżał woniejący liścik z Włoch przybyły.

- Moja Czernisiu! Będziemy miały gości...

- Chwała Bogu! Pani weselej trochę będzie. Od powrotu z zagranicy pani ciągle taka smutna...

- O! Moja Czernisiu, czegóż bym wesołą być miała! Świat ten tak jest smutny! Te szczególnie dusze, które gonią za ideałem, za doskonałością, wiecznie tylko zawodzić się muszą...

Po chwili milczenia dodała:

- Hela na przykład... Co to było za śliczne, miłe, zabawne dziecko... a teraz...

- Od powrotu naszego z zagranicy panienka ciągle nadąsana jakoś... czy smutna...

- Gdzie tam smutna! Czegóż by ona smucić się miała? Dąsa się na mnie za to, że nie zajmuję się nią tak ciągle, jak dawniej... Mój Boże! Czyż ja mogę przez całe życie niczym innym nie zajmować się, jak tylko tym dzieckiem...

- Pani przyzwyczała panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci - powtórzyła swoje Czernicka.

W samej rzeczy, Hela była smutną, ale zarazem i dąsała się straszliwie. Wypieszczone i od dawna samymi tylko rozkosznymi wrażeniami pojone jej nerwy rozstrajały się pod wpływem żalu, z którego przyczyny i natury nie zdawała sobie jasnej sprawy, lecz który co chwila pobudzał ją do płaczu lub złości. Przy czesaniu się i ubieraniu krzyczała teraz wniebogłose prawie, tupiała nóżkami, ścisnęła piąstki - ledwie że nie biła Czernickiej. Kiedy pani Ewelina milczeniem lub półsłówkami odpowiadała na pieśczośliwe jej szczebioty albo i zamykała się przed nią w swej sypialni, siadała w kącie salonu na niskim stołeczku i skurczona, z wydętą twarzą, szepcąc do samej siebie gniewne monologi zalewała się łzami. Po czym oczy jej nabrzękle i czerwone skłaniały panią Ewelinę do ostatecznego wyrokowania, że Hela jest złośnicą i widocznie szpetnieje. Czasem przychodziło jej na myśl robić coś na złość swej zubożniałej dla niej opiekunce; kto wie? Tym sposobem może zwrócić na siebie znowu jej uwagę. Gdy pani Ewelina z oczami wlepionymi w książkę w najgłębsze popadała zadumy, krokiem konim, z ukośnymi wejrzeniami skradała się do fortepianu i zaczynała z całej siły obu rękami uderzać w klawisze.

Niegdyś kakafonia taka wykonana przez wychowaną jej wywołałaby wesoły śmiech pani Eweliny i sprowadziłaby na dziecko grad całusów. Teraz przecież Helka była daleko mniej zabawną, a pani Ewelina zapadała często w smutki i tęsknoty. Teraz zrywała się ona, biegła ku dziecku i karciła ją surowymi napomnieniami, a niekiedy lekkimi uderzeniami po swawolnych rączkach. Wtedy Helka rozplakana i drżąca padała przed nią na klęczki, całowała kolana jej i stopy wyszeptując długie, namiętne litanie najczulszych nazw.

- Moja droga - mówiła - moja złota... moja najmilsza..., proszę..., proszę...

I z wzniesionymi oczami, ze splecionymi rękami klęcząc milkła. Czuła, głęboko i boleśnie czuła, że chce o coś prosić, lecz o co i jak? Nie wiedziała.

W czasie jednej ze scen podobnych, dnia pewnego, lokaj zjawiający się w drzwiach salonu oznajmił gościa z włoskim nazwiskiem. Pani Ewelina, która z właściwą sobie czułością i dobrocią rozczulać się już zaczynała pokorną a pełną wdzięku postawą dziecka i już, już w objęcia swe pochwytać je miała, na dźwięk wymówionego nazwiska drgnęła, wyprostowała się i spiesznie podążyła na spotkanie wchodzącego do salonu pięknego Włocha i słynnego artysty. Gdy witała go, uśmiechy i rumieńce, które twarz jej oblały, uczyniły ją podobną do świetnie rozkwitłej róży.

Wizyta trwała długo, bo aż do późnego wieczora. Gospodyni domu i gość rozmawiali po włosku z ożywieniem wielkim, z widocznym i z obopólnym pragnieniem wzajemnego uprzyjemniania sobie czasu. Niebawem przyniesiono wiolonczelę, pani Ewelina siedząc przy fortepianie akompaniowała grze słynnego wiolonczelisty. W jednym z przestanków zaczęli rozmawiać z sobą ciszej niż wprzód - być może nawet, iż mieli sobie coś poufnego i tajemnego do powiedzenia, bo głowy ich kłoniły się jedna ku drugiej, a Włoch sięgał po białą rękę kobiecą niedbale na klawiszach spoczywającą, lecz w tejże chwili pani Ewelina usunęła się i usunęła rękę, brwi jej ściągnęły się w sposób wyrażający przykre wrażenie, ze zniecierpliwieniem przygryzła wargę i głośno o muzyce mówić zaczęła. Przyczyną tego gwałtownego wzburzenia duszy i fizjonomii było spotkanie się oczu jej z parą utkwionych w niej szafirowych jak niebo włoskie i jak to niebo ognistych oczu dziecinnych. Hela, skurczona i cicha jak ptak zraniony, siedziała w pobliżu na niskim podnóżku i z cienia spadającego na nią od fortepianu wpatrywała się w opiekunkę swą jak w tęczę. We wzroku tym upiornie w jeden punkt skierowanym była żałość i trwoga, i prośba... I przez następnych parę dni pani Ewelina i gość jej nie mogli powiedzieć sobie nic poufnego i tajemniczego; rozmowa ich toczyć się musiała po ubitych i odkrytych gościńcach, bo Hela, ani na chwilę prawie nie opuszczając salonu, rozumiała wybornie i sama nawet nieźle mówiła po włosku.

Po paru dniach pani Ewelina oczekując miłego gościa swego siedziała na

kanapce z czołem na dłoni wspartym, pogrążona w tęsknej i zarazem rozkosznej zadumie. O czym myślała? O tym zapewne, że Bóg w nieprzebranej dobroci swej zesłał na mroczną i chłodną drogę jej życia ciepły i jasny promień słońca. Promieniem tym stał się dla niej genialny i śliczny ten człowiek wypadkiem na szerokim świecie spotkany, a teraz za drogiego przyjaciela duszy i serca przez nią przybrany. O! Jakże on ważną rolę w istnieniu jej odegra! Czuje to po przyspieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle napełniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, tak przez wszystko zawiedzioną. Już, już zastygnąć, zestarzeć, w martwą apatię lub w ciemną melancholię popaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że wśród najgłębszej nawet niedoli ufności w czuwanie to tracić nie należy. Byleby tylko genialny, piękny i drogi przyjaciel ten przybywał prędeż...

Tu zaduma pani Eweliny przerwaną została przez dwie małe rączki, które jak płatki śniegu spadły na czarne koronki jej sukni i nieśmiało, błagalnie jakby pięły się ku jej szyi. Obudzona, wzdrygnęła się i powściągnąwszy zniecierpliwienie z lekka usunęła od siebie Helę. Ona usiłowała jeszcze zniecierpliwienie jej brać za wesoły żart. Zbyt długo kochaną była, aby móc prędko w odtrącenie uwierzyć. Zaśmiała się z cicha, pieścizotliwie i znowu nieśmiałe rączki topiąc w koronkach próbowała dosięgnąć i objąć jej szyję. Tym razem pani Ewelina poskoczyła z kanapki, zadzwoniła:

- Panny Czernickiej!

Czernicka wbiegła ze zwojem jedwabnej materii w rękach, z pasemkiem jedwabiu na szyi, z mnóstwem szpilek w staniku sukni, zarumieniona silnie i spiesząca się. Od tygodnia przeszło dyrygowała ona założoną w garderobie fabryką nowych sukien i wszelakich strojów.

- Moja Czernisiu, weź Helę i niech ona tam przy tobie będzie, kiedy u mnie są goście. Przeszkadza mi rozmawiać z gośćmi... Nudzi mnie...

- Panienska niegrzeczna!

Z tymi słowami panna służąca schylała się nad dzieckiem, a po ustach jej wił się właściwy uśmieszek, trochę sarkastyczny i trochę smutny; pierś zaś ściśnięta czarnym, ciasnym stanikiem drgała ni to powstrzymywanym śmiechem, ni to tłumioną złością. Wziąwszy rękę Helki, która ze zbielałą twarzą stała nieruchomi jak słupek, przez chwilę bystro patrzyła w twarz swej pani.

- Panienska zmieniła się... - wymówiła z wolna.

- Zmieniła się - powtórzyła pani Ewelina i wzdychając, z gestem największego zniechęcenia dodała: - nie pojmuję już teraz, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne dziecko!...

- O! Było ono kiedyś wcale inne!

- Nieprawdaż, Czernisiu? Wcale inne. Była kiedyś prześliczna... ale teraz...

- Teraz zrobiła się nudna...

- Okropnie nudna... Weź ją i niech już ciągle będzie przy tobie...

Czernicka wyprowadzając za rękę osłupiałą wciąż i jak płótno zbieła Helę w progu jeszcze usłyszała:

- Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem pokornym i przymilnym uśmiechem.

- Cóż tam z moją morową suknią? Dopilnuj, proszę cię, aby dziś ładnie do stołu nakryli... rzuć też okiem na deser... Włosi, wiesz? Nic prawie prócz owoców i lodów nie jedzą...

- Wszystko będzie wedle rozkazów pani..., proszę tylko o klucz do materii i koronek i o pieniądze na wszystko...

W pokoju Czernickiej cicho było. Zegar wiszący nad ogromnym kufrem wybijał właśnie północną godzinę. W pobliżu firanek osłaniających łóżko panny służącej biała pod ścianą śnieżnie usłane z orzecha rzeźbione łóżeczko dziecinne. Na stole obok maszyny do szycia paliła się lampa, a na jasnym tle obfitego jej światła ostro i ciemno rysowała się postać pilnie pracującej kobiety. U nóg jej na ładnym podnóżku siedziała Hela piastując na kolanach swych uśpionego Elfa. Czernicka starannie układała i pilnie zszywała kokardy z czarnej mory, lecz gdy z głębi domu, z salonu, do ucha jej doleciały połączone, płaczące tony fortepianu i wiolonczeli, chmurny wzrok swój utkwiła w pochylonej nad pieskiem głowie Heli, a palcem uzbrojonym w srebrny napastrzek z lekka jej dotykając wymówiła:

- Słyszysz? Pamiętasz? I ty kiedyś tam byłaś!

Dziecko podniosło twarz znacznie od paru dni pobladłą i na starszą towarzyszkę patrzyło w milczeniu oczami pełnymi wrosłego w nie jakby zdumienia.

- Cóż tak oczy na mnie wytrzeszczasz? Czegóż dziwisz się? Och, poszłabyś lepiej spać... Nie chcesz? Myślisz, że cię pani zawoła? Nieprędko to nastąpi. Żal

mi cię trochę. Chcesz? To opowiem ci jedną długą, ładną bajkę...

Hela podskoczyła na stołku tak, że aż się Elf obudził. Bajka! Niegdyś słuchała często bajek opowiadanych jej przez panią Ewelinę.

- Cicho, Elfku, cicho! No, nie śpij znowu! Słuchaj! Bajka będzie długa i ładna.

Czernicka dziesiątą z kolei wykończoną kokardę rzuciła na stół i zaczynając układać jedenastą, spod brwi na rozweselone nieco dziecko spoglądała. Palce jej drżały trochę i wzrok poseępniał. Po chwili przyciszonym głosem i zawzięcie szyjąc zaczęła:

- Była sobie raz jednego w szlacheckiej okolicy jedna młoda, przystojna dziewczyna. Żyła ona sobie szczęśliwie u rodziców swoich, pomiędzy braćmi i krewnymi swymi, pod błękitnym niebem bożym i między zielenią kochanej ziemi, pracując ciężko, to prawda, ale zdrowa, hoża, rumiana i wesoła. Było już jej lat piętnaście i już ją był chłopiec - sąsiad za żonę upatrzył, gdy wtem wypadkiem zobaczyła ją jedna bogata i bardzo dobra pani. Ta pani zobaczyła młodą tę dziewczynę raz w niedzielę, kiedy w świątecznym ubraniu niosła ona z lasu dzbanek poziomek. Zobaczyła i zaraz bardzo pokochała. Za co? Nie wiadomo. Podobno dziewczyna miała, piękne oczy, może też do twarzy jej było na zielonej miedzy, w złotej pszenicy, z czerwoną wstążką przy kaftanie i dzbankiem poziomek w ręku. Dość, że dobra pani przyjechała ślicznym powozem przed chatę jej rodziców i - zabrała ją sobie. Mówiła, że da jej edukację, w świat ją wprowadzi, los i szczęście jej zapewni... Los... i szczęście!

Dwa ostatnie wyrazy wymówiła przeciągle, ze świstem, i rzuciwszy na stół jedenastą kokardę rozpoczęła układanie dwunastej.

- Cóż dalej? Co dalej? Moja panno Czernicka, co dalej? - trzepotało się na stołeczku dziecię.

Elf nie spał także i siedząc na kolanach dziecka, dwójkiem czarnych, okrągłych oczu pojętnie patrzył w twarz opowiadającej.

- Dalej - było tak. Dobra pani kochała bardzo, ale to bardzo młodą dziewczynę przez caluteńkie dwa lata. Trzymała ją wciąż przy sobie, całowała często, uczyła mówić po francusku, zgrabnie chodzić, mówić i jeść, paciorkami ma kanwie wyszywać... potem...

- Co potem? Co potem?

- Potem zaczęła ją lubić daleko już mniej, aż na koniec raz wypadkiem spotkała jednego hrabiego. Wtedy młoda dziewczyna zrobiła się bardzo nudna i - poszła do garderoby... Całe szczęście, że miała ona wiele dobrego gustu i zręczności,

dobra pani więc kazała ją wyuczyć krawiectwa i różnych robót i zrobiła z niej swoją pannę służącą. Gdyby nie nadzwyczajna dobroć tej pani, dziewczyna miałaby teraz swoją chatę w szlacheckiej okolicy, męża, dzieci, zdrowie i twarz rumianą. Ale pani ta zapewniła jej los i szczęście. Od lat dwunastu szyje ona dla niej stroje po całych nocach, ujada się z jej garderobianymi i lokajami, każdego ranka wkłada jej na nogi pończochy i trzewiki, a każdego wieczora urządza z kołdry jej gustowne draperie... Trzydzieści lat ma dopiero, a wygląda na starą kobietę... Wychudła, szerniała i na oczy zapadać zaczyna... Starość jej prędko przyjdzie i pamiętać o tym musi... O! musi ona pamiętać o swojej starości, bo gdyby sama o niej nie pamiętała, to dziś czy jutro, kiedy dobra pani kogoś innego zechce na miejsce jej w garderobie posadzić, wrócić by musiała chyba do szlacheckiej okolicy swojej na łaskę braci, na pośmiewisko ludzkie, na... nędzę! Ot... początek bajki!

Na stole leżało już wykończonych kokard kilkanaście. Czernicka wzięła długi; szeleszczący kawał czarnej mory i układać go zaczęła w malownicze fałdy i zwoje. Palce jej drżały mocniej niż wprzód, a żółte powieki mrugały prędko, prędko, dlatego może, aby zdusić łzy, które drżały na rzęsach. Spojrzała na Helę i zaśmiała się głośno.

- Ależ! - zawołała. - Wytrzeszczyłaś oczy tak, jakbyś mnie nimi pożreć chciała. I psisko to także wlepią we mnie swoje ślepie, niby bajkę rozumie. Bo to bajka jest... Chcesz słuchać dalej ?

- Co było potem? - szepnęło dziecko. Czernicka z wielką powagą w głosie i na twarzy odpowiedziała:

- Patem - był hrabia...

- A jakim był - ten hrabia?

- Ten hrabia był - żonaty. Ksiądz spowiednik wytłumaczył dobrej pani, że żonatego kochać nie trzeba, bo można za to pójść do piekła i sam po hrabi nastąpił.

- A gdzie był ten ksiądz spowiednik?

- Ten ksiądz spowiednik był w Paryżu - ale wkrótce pani wyjechała z Paryża i w mieście jakimś, wypadkiem, zobaczyła śliczną papugę, bladuróżową, z czerwonym, dziobem...

Helą uczyniła żywe poruszenie...

- W Wiedniu... - zawołała - w jednym ogrodzie jest tak dużo, dużo papug... takie śliczne... śliczne...

- Otóż to; tamta papuga była jeszcze śliczniejszą od tych, które są w Wiedniu... Pani kupna ją sobie i bardzo pokochała. Więcej jak przez rok nie rozłączała się z nią nigdy. Na noc przenoszono ją z klatką z salonu do sypialnego pokoju. Pani uczyła ją mówić po francusku, karmiła ją najwyborniejszymi przysmakami, gładziła jej piórka, całowała w dzióbek...

Tu skończyło się fałdowanie kawałka mory. Czernicka pyszną draperię zawiesiła na poręczy krzesła i rozpoczęła mozolne strzępienie igłą końców szerokiej morowej szarfy. Pod ciosami igły materia wydawała ostre chrzęsty, zegar nad kufrem wybijał godzinę pierwszą, z salonu przytłynęły znowu milczące wprzód przez dobry kwadrans, a teraz jak gdyby w namiętny uścisk rzucające się tony wiolonczeli i fortepianu.

- Co potem? Co było potem? - zaszemrał niecierpliwy i zarazem trwożny szept dziecięcy.

Elf nie był ciekawy końca bajki. Usnął w objęciu Helki.

- Potem... nie pamiętam już, dlaczego i jakim sposobem papuga zrobiła się bardzo nudna... i poszła do garderoby. W garderobie posmutniała, przestała jeść, zachorowała i zdechła. Ale pani nie żałowała jej wcale, bo miała ślicznego pieska...

- Wiem! Już wiem! - nagle zawołała Helka. - Co wiesz?

- Koniec bajki. - No to powiedz.

- I piesek poszedł do garderoby... - A potem?

- Potem była dziewczynka...

- I cóż?

- Pani dziewczynkę kochała...

- A potem - wtrącała Czernicka - spotkała jednego sławnego muzyka...

- I dziewczynka poszła do garderoby!

Ostatnie trzy wyrazy Hela wymówiła szeptem za ledwie dosłyszalnym. Czernicka podniosła oczy znad morowych strzępi i ujrzała twarz dziecięcą dziwnie wyglądającą. Była to mała, pięknie zarysowana twarz, biała w tej chwili jak opłatek, z dwoma strugami cichych, bujnych łez, z wolna toczącymi się po policzkach, z dwojgiem oczu szafirowych, wielkich, które zza łez podnosiły się ku niej z niemym, bezdennym, zda się, zdumieniem. Zrozumiała bajkę... ale

dziwić się nie przestała.

Czernicka znowu kilka razy powiekami mrugnęła. Wstała i dziewczynkę z podnóżka podniosła.

- No - rzekła - dość już bajek i płaczów, i nocnego siedzenia. Zachorować możesz... Idź spać.

Nie opierając się wcale, cichą jak sen, a wciąż podnoszącą ku niej pytające zza łez oczy, rozebrała i na pościeli złożyła. Potem wzięła Elfa, który już na podnóżku ułożył się był do snu, i w kształcie pociechy zapewne położyła go na jej kołdrze. Nachyliła się i suchymi, wąskimi wargami czoła jej dotknęła.

- No - rzekła - cóż robić? Nie byłam zła dla papugi, nie byłam zła dla Elfa, nie będę też zła dla ciebie... dopóki tu będziesz. Śpij!

Lekkim, ozdobnym parawanem zasłoniwszy jeszcze dziecinne łóżko od światła lampy, usiadła znowu przy stole i poczęła zszywać na maszynie białe jakieś muśliny. Suche i zwinne ramię jej obracało żywo korbę maszyny, a koło maszyny turkotało dopóty, dopóki w przedpokoju zaspany lokaj nie zamknął drzwi za odchodzącym gościem. Na ścianie bieleł już wtedy późny ranek jesienny. Z sypialnego pokoju pani Eweliny ozwał się dzwonek. Czernicka porwała się z miejsca i przecierając oczy całonocną pracą zmęczone, pośpiesznie z pokoju wybiegła.

Od ponownego wyjazdu za granicę pani Eweliny, który nastąpił wkrótce po wyjeździe z Ongrodu słynnego artysty, upłynęło pół roku. Drobny; gęsty deszcz marmocowy bez najlżejszego szelestu padał z popielatego nieba, a choć na świecie dobra jeszcze godzina pozostawała do zapadnięcia wieczora, w malutkim, niskim domostwie mularza Jana robiło się już ciemno.

W mętny i dżdżysty dzień wiosenny dwa małe, nad samą prawie ziemią umieszczone okna skąpo oświetlały izbę dość obszerną, z niskim, belkowanym sufitem, ze ścianami okrytymi szerniałym i chropowatym tynkiem, z podłogą glinianą i wielkim piecem do pieczenia chleba i gotowania służącym, a wypełniającym całą prawie czwartą część izby. Piec był wielki, a jednak w starych tych, niskich i cienkich ścianach czuć było zgromadzoną przez zimę stęchliznę i wilgoć. Zresztą stały tam pod ścianami ławki, stoły, parę krzesel z żółtego drzewa, komódka ze świętymi obrazkami, dwa niskie tapczaniki do spania, beczka z wodą i beczułka z kwaszoną kapustą, a w pobliżu pieca wąskie i niskie drzwiczki prowadziły do malutkiej izdebki będącej sypialnią właścicieli domostwa.

Teraz w większej izbie zgromadzona rodzina mularza zabierała się do jedzenia

wieczerzy. Jan, krępy, silny człowiek, z głową nastrzępioną twardymi jak sierść, a jak las gęstymi włosy, tylko co wrócił od roboty, twarz i ręce umył w konwi z wodą i zdjawszy mularski fartuch swój gliną i wapnem oblepiony, w kamizelce i rękawach grubej koszuli zasiadł przy ścianie za stołem. Janowa, bosa, w krótkiej spódnicy i chustce na piersi skrzyżowanej, z grubą, potarganą kosą odrzuconą na plecy, w przepaścistej głębi pieca rozpałała duży ogień i gotowała przy nim zacierkę. Pod ścianą na tapczanie siedziała i głośno gwarzyła gromadka dzieci. Było ich troje: chłopak dwunastoletni, krępy i silny, z czupryną jak u ojca gęstą i najeżoną, i dwie dziewczynki od lat ośmiu do dziesięciu, bose, w długich aż do ziemi spódniczkach, szczupłe, ale rumiane i śmiejące się na całą izbę.

Rozśmieszał je tak Wicek, który wpośleżąc na tapczanie i dziwne rzeczy bosymi nogami dokazując opowiadał im o przygodach swych doświadczanych w szkółce początkowej, do której od roku uczęszczał. Dopóki Janowa nie rozpałała ognia w piecu, zdawać się mogło, że w izbie tej oprócz dwojga rodziców i trojga małego rodzeństwa nie było nikogo. Gdy jednak błysk płomienia oświecił ciemny wprzód przeciwległy kąt izby, ukazała się siedząca na drugim tapczaniku jedna jeszcze mała istota ludzka. Była to także dziewczynka, około dziesięcioletnia, której jednak twarz i ubranie błysk ognia ruchomy i słabo tu dochodzący oświecał mętnie i migotliwie. Widać tylko było, że siedziała ona na tapczaniku z podwiniętymi nogami, w najgłębszy kąt wsunięta, w postawie skurczonej i zziębłej. Tuż przy niej połyskiwały brązowe guziki przyozdabiające niewielki, ale wykwinny kuferek, z którego dwie małe i blade jak opłatek ręce wydobywały od czasu do czasu różne drobne przedmioty. Z ruchu rąk tych można było z łatwością odgadnąć, że skurczona i zziębła istotka grzebieniem z kości słoniowej długo i starannie czesała swoje włosy, w których migotliwe błyski ognia rozpałały niekiedy wśród cienia gorącozłote połyski. Raz błysnęło też wydobyte z kufierka w srebro oprawione lusterko...

- Mamo! mamó! - zawołała młodsza z dwu bawiących się na tapczanie dziewczynek - Heła znowu czesze się i przypatruje się sobie w lusterku...

- Ona dziś już trzeci raz czesze się, a dwa razy myła sobie paznokcie - wzgardliwie zauważyła starsza dziewczynka.

- Elegantka! Lala! - dorzucił chłopiec - czy to jej jak nam w konwi myć się... Umoczy ręczniczek swój w wodzie i pecka nim sobie twarzyczkę... Ot! stłukę ja jej to lusterko, zobaczymy, co będzie!

I wszystko troje z wielkim tętentem bosych nóg rzucili się ku ciemnemu kątowi.

- Daj lusterko! Daj! Daj!

Dwie małe, blade jak opłatek rączki w milczeniu i bez najlżejszego oporu wyciągnęły się z cienia i oddawały rozswawolonej gromadce lusterko w

srebrnych ramkach. Dzieci porwały je, lecz łupem tym jeszcze nie zadowolone, ściągnęły z tapczana kuferek z angielskiej skóry i usiadłszy dokoła niego na ziemi, po raz setny zapewne przeglądając poczęły zawierające się w nim grzebienie, szczotki, szczoteczki, puste flakony od perfum i pudełka do mydeł.

Janowa tymczasem, nie zważając wcale na krzyki i śmiechy dzieci, a może nawet i w dobry humor przez nie wprowadzona, rozmawiała z mężem o dzisiejszej robocie jego, o przykrościach, które wyrządzała jej sąsiadka, o Wicku, który dziś zalenił się i późno do szkoły poszedł. Potem niosąc ku stołowi wielką, dymiącą się misę zawołała dzieci na wieczerzę.

Wezwania tego nie trzeba im było po dwa razy powtarzać. Wicek i Marylka jednym skokiem byli już na ławie obok ojca, któremu po jednym ramieniu na szyję zarzucili. Kaśka przyskakowała do stołu, uczepiona do spódnicy matki krajającej w drodze chleb razowy z wielkiego bochna. Janowa obejrzała się.

- Hela! - zawołała - a tyż? Dlaczego nie idziesz jeść?

Zsunęła się z tapczanika i kiedy szła ku rodzinnemu stołowi, drobna postać jej oświetlona w pełni w sposób szczególny, jaskrawy odbiła się od otaczającego ją tła. Szczupła i nad wiek swój wysoka, miała ona na sobie szubkę z błękitnego atłasu łabędzim puchem obszytą. Atłas był jeszcze świeży i błyszczący, ale śnieżne niegdyś obszycie wyglądało jakby wydobyte z popiołu. Ubranie to, z którego już wyrosła, sięgało jej zaledwie do kolan, poniżej długie, chude jej nogi wpółokryte były łachmankami pończoch pajęczej cienkości i bucikami wysokimi, na długi rząd błyszczących guziczków spiętymi, ale przez otwory których przeglądały nagie prawie stopy. Ściągnęła i chudą twarz jej z wielkimi, zapadłymi oczami otaczały włosy ogniste, starannie uczesane i opasane świeżo snadź włożoną kosztowną wstążką. W tych niskich, ciemnych ścianach, pomiędzy tymi dziećmi bosymi i w grubej odzieży strój ten, jako też delikatność cery jej, rąk i ruchów okrywały ją wpółśmieszny, wpółbolesny piętrem głębokiej z całym otoczeniem jej dysharmonii. Przez chwilę słychać tylko było uderzanie łyżek o misę i mlaskanie pięciu gąb, z wielkim smakiem zajadających zacierkę ze słoniną, przekąsywaną razowym chlebem. Hela jadła także, ale powoli, delikatnie i bardzo mało. Kilka razy podniosła do ust chleb i zacierkę i położywszy łyżkę na stole, siedziała cicho, z rękami splecionymi na kolanach, wyprostowana na stołku swoim, tak wysokim, że stopy jej w paryskich, podartych bucikach nie dosięgały ziemi.

- Czemu nie jesz więcej? - zwróciła się do niej Janowa.

Dziękuję, już nie chcę - odpowiedziała i drżąc z zimna otulała się, jak mogła, swoją za wąską dla niej i za krótką atłasową szubką.

- Czym to dziecko żyje, to już ja doprawdy nie wiem! - zauważyła Janowa. - Gdybym jej co dzień kawalotka mięsa nie usmażyła, toby już chyba do tego czasu z głodu umarła. A i tego jeszcze nigdy, nigdy do końca nie zje...

- Et - flegmatycznie zauważył Jan - przywyknie kiedyś, przywyknie...

- A ciągle też zimno jej i zimno... Nasze dzieci latają po dworze bose i w koszulach, a ją tu w izbie przy piecu w tym niby to futerku febra wciąż trzęsie...

- At - powtórzył Jan - przywyknie kiedyś...

- Pewno! - przytwierdziła Janowa - ale ot, tymczasem żal bierze patrząc... Już ja często gęsto i samowarek nastawię, a herbatą ją napoję...

- Tak i trzeba - potwierdził mularz - przecież płacą nam za nią...

- Płacą, to płacą... ale nie tyle, żebyśmy ubóstwo nasze dla niej na bogactwo odmienić mogli...

- Bo i nie potrzeba, przywyknie.

Wicek i Marylka opychali się jeszcze chlebem i zacierką. Kaśka przekomarzała się z nimi jeść im przeszkadzając. Jan otarłszy usta rękawem koszuli począł rozpytywać się syna o szkolne jego nauki i prowadzenie się, w przyległej izdebce zapłakało kilkomiesięczne dziecko. Janowa, która misę, łyżki i pół bochna chleba ku piecowi niosła, obejrzała się na Helę.

- Idź, pokołysz Kazia i zaśpiewaj mu tam, jak to ty umiesz...

Rozkaz ten wydawała głosem łagodnym, daleko nawet łagodniejszym niż ten, jakim do dzieci swoich przemawiała.

Hela, posłuszna i milcząca, krokiem lekkim i pełnym gracji, wcale do porywistego i ciężkiego chodu dzieci mularza niepodobnym, wsunęła się w całkiem prawie ciemną izdebkę, a po chwili miarowemu stukowi biegunów kołyski wtórować zaczął słaby, lecz czysty i rzewnością nabrzmiąły śpiew dziecinny. Innych piosenek jak francuskie nie umiała, ale tych za to pamiętała mnóstwo. Francuskie zaś śpiewanie to zawsze i nieodmiennie wprawiało w zachwyt rodzinę mularza, dlatego może najbardziej, że było dla niej niezrozumiałym. I teraz także dzieci umilkły, Jan obu łokciami rozparty na stole i Janowa, myjąca naczynia przy piecu, milczeli. W ciemnej izdebce miarowo stukały bieguny kołyski, a czysty i smutny głos dziecinny na przewlekłą, melancholijną nutę wyśpiewywał zwrotkę ulubionej piosenki:

Le papillon s'envola,

*La rose blanche s'effeuilla,
La la la la la la la...*

Janowa podeszła do stołu, Jan podniósł głowę. Popatrzyli na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się z szyderstwem trochę, trochę ze smutkiem. Jan sięgnął w zanadrze i rzucił na stół rozpieczętowaną kopertę.

- A! ot! spotkałem dziś na mieście posesora Krzyckiej. Szedł do nas, ale zobaczywszy mnie zawołał i oddał mi to...

Janowa grubymi palcami swymi z widocznym i głębokim uszanowaniem wydobyła z koperty banknot dwudziestopięciorublowy, stanowiący połowę rocznej sumy, którą im pani Ewelina na utrzymanie i edukację Heli aż do zupełnego dorostania wypłacać przyrzekła.

- No - zaczęła Janowa - przysłała jednak... chwała Bogu... myślałam, że...

Urwała, bo obok niej, przy stole, stanęła Helka. Z ciemnej izdebki, gdzie kołysała dziecko, widziała oddającego żonie kopertę z pieniędzmi i usłyszała wymówione nazwisko swej dawnej opiekunki. Jakby jej w jednym mgnieniu cała dawna żywość wróciła, zeskoczyła z łóżka Janowej, przy którym stała kołyska, i przypadła do siołu z zarumienioną twarzą, z błyszczącymi oczami, uśmiechnięta i drżąca, nie od zimna już, ale od wzruszenia. Wyciągnęła ku kopercie obie ręce.

- Od pani - wołała - to od pani... czy... czy...

Tchu jej brakło.

- Czy panu o mnie co pisze?

Jan i Janowa popatrzyli znowu na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się.

- Ej, ty głupi dzieciaku! gdzieby tam pani miała do nas o tobie co pisać... przysłała, ot, pieniądze na utrzymanie twoje. Bądź wdzięczna i za to!

Hela w mgnieniu oka znowu pobladała, sposepniała i otulając się szubką swoją odeszła ku piecowi. Wicek pochwycił kopertę i czytał Marylce wypisany na niej adres, Kaśka drzemała na ławie z głową złożoną na kolanach ojca. Jan, biorąc z ręki żony banknot, z wahaniem w głosie zaczął:

- Może by to... schować dla niej... na dalsze czasy. Za dwadzieścia pięć rubli wyżyjemy dziecko, a te drugie niechby....składały się...

Niechby składały się - brodę na rękę w zamyśleniu wspierając odpowiedziała

Janowa tylko że widzisz, Janku, teraz by ją oporządzać trochę trzeba...

- Jak to oporządzić? Toż pozwolili jej całą garderobę wziąć ze sobą...

- Ach! garderoba! Dobrze to było do pałacu, ale tutaj... Wszystko to takie cieniutkie, delikatne, niemocne... albo to ja mogę prać także rzeczy jak należy... Ot, jedna dopiero zima minęła, a na miejscu tych jej sukien w kuferku same łachy zostały.

- Ano, kiedy oporządzić, to oporządzić. Tylkoż mi, kobieto, zbytków żadnych dla dziecka tego nie rób... niech chodzi tak jak nasze dzieci... a jeśli grosz jaki zostanie, na dalsze czasy dla niej schować...

- Ale! Jak nasze dzieci! Kiedy to takie delikatne. Bosą nogą na podłogę stąpi, kaszle... trzy dni koszulę ponosi, płacze, pytam się: "Czego płaczesz?" "Koszula brudna!" - powiada... A myje się to, czesze i kurczy się po kątach przez całe dnie... jak kotka.

- At - bębniąc palcami po stole zakonkludował Jan- przywyknie...

Gdy mularz i żona jego w sposób ten naradzali się nad Helą, ona stała przed piecem i zapadłymi, przygasłymi oczami patrzyła w dogasający ogień. Widać było, że namyślała się nad czymś głęboko; po chwili stanowcze jakby postanowienie powziąwszy odwróciła się i cichutko otworzywszy drzwi od sieni wymknęła się z domostwa. Na ulicy znacznie widniej było niż w chacie, jednak szarzało już z wolna i chłodem przeszywająca mgła marcowego deszczu napełniała powietrze. W mgle tej brzegami znanych sobie dobrze uliczek, a potem ulic Helka przesuwała się zrazu prędko, potem coraz powolniej. Chwilami zmęczona bardzo przystawała; w wąskiej piersi jej brakowało oddechu, źle obute nogi słały, kilka razy zaniosała się chrypliwym kaszlem. Szła jednak wciąż dalej i dalej, aż znalazła się na Zamiejskiej ulicy, u początku której, pośród bezlistnych teraz drzew ogrodu, stała willa pani Eweliny. Podeszła do żelaznych sztachet, popatrzyła na ogród. Posunęła się dalej, ku bramie. W bramie furtka była otwarta. Weszła na dziedziniec. Tu, w głębi dziedzińca, w dwu oknach oficyny, w której było mieszkanie stróża, świecił ogień. Snadź gotowano tam wieczerzę. Przed oficyną stróż rozrąbywał na drzazgi klocek drzewa. Zresztą cicho tu było i pusto, uderzenia siekiery głucho i miarowo tętniały w mgle deszczowej, z blaszanej rynny na brak dziedzińca ciekła z monotonnym szmerem wąska struga wody. Hela przesunęła się pod ścianą pałacyku i suchą, bo żwirowaną ścieżką weszła do ogrodu. Tu stanęła przed schodami wysokiego ganku, na którym pani Ewelina przesiadywała zwykle całe dnie letnie. Teraz schody, ganek i okrażające go ławki pokryte były wodą. Hela zaczęła wstępować po schodach, woda pluskała spod jej paryskich, podartych bucików. Nagle wydała okrzyk radości i miłosnym gestem

wyciągnęła obie ręce. Spod ławki, z kąta ganku, w którym leżał zwinięty i do kłębka zmoczonej w błocie peli[8] podobny, z zajadłym, piskliwym szczekaniem rzucił się ku niej Elf. Nie poznał jej był zrazu, bo też długa sierść jego, przemokła, splątana, całkiem prawie zasłaniała mu oczy. Gdy jednak przemówiła do niego i na mokrych deskach przed nim usiadła, wskoczył na jej kolana; a skomląc z radości, lizać począł twarz jej i ręce. Stworzenie to było wychudłe także, zziębnięte, głodne zapewne, brudne...

- Elfku, mój! Elfku! piesku mój drogi, złoty, najmilszy!

Tulili się do siebie i całowali się wzajem.

- Elfku! A gdzie pani? Gdzie pani? Nie ma pani naszej! Nie ma! Nie ma!

Wstała i psa niosąc w objęciu zbliżyła się do jednego z wychodzących na ganek okien domu. Usiadła na ławce i wnet zerwała się z niej.

- Popatrzymy przez okno, Elfku, zobaczymy, co tam w pokojach dzieje się... Może tam pani jest... może nas zawoła...

Uklękła na ławce. Woda, której wiele zgromadziło się we wklęsłości ławki, plusnęła spod jej kolan. Nie uważała na to.

- Patrz, Elfku, patrz!

Podniosła pieska i obok twarzy swej kosmaty pyszczek jego do szyby przycisnęła.

- Widzisz, Elfku... Wszystko tak samo, jak było... pąsowe firanki takie piękne... a tam to duże lustro, przed którym pani ubierała mnie czasem... a tam... przez otwarte drzwi widać pokój jadalny...

Umilkła; pożerała oczami wszystko, co we wnętrzu mieszkania dostrzec mogła.

- Widzisz, Elfku, ten kołyszący się fotelik... Jak na nim wygodnie siedzieć... Bywało, siadę i kołyszę się... kołyszę się... caluteńką godzinę... i lalka moja, ta duża, kołysała się ze mną...

Elf zmęczył się niewygodną pozycją, wysunął się spod jej ramienia i opadł na ławkę. Osunęła się też wkrótce na nią i dziewczynka.

- Oj, Elfku! Elfku! I ty, i ja... byliśmy tam niegdyś...

Siedziała w wodzie. Ubranie jej tak było przesiąknięte wilgocią, że czuła spływające jej po plecach chłodne strumienie. Stopy jej, pod paryskimi,

podartymi bucikami nagie prawie, drętwiały. Siedziała jednak i tuliła do piersi wychudłego, mokrego Elfka, który od chwili do chwili ręce jej lizał.

- Widzisz, Elfku, tam gdzie teraz tyle błota... latem jest trawnik, a ja z panią siedziałam na nim tyle, tyle razy i układałyśmy bukiety. A pamiętasz ty, Elfku, Włochy? To ja uprosiłam panią, abyś tam z nami jechał! Jak tam pięknie, prawda? Ciepło, zawsze zielono... słońce tak świeci... świeci... morze takie szafirowe... .nad morzem takie wielkie, białe ptaki latają... A pamiętasz, jak panna Czernicka lękała się płynąć po morzu? Gdzie teraz panna Czernicka? Z panią pojechała. A my, Elfku, nie pojedziemy już z panią nigdzie... . nigdzie... nigdzie....

Ciężka, kamienna senność ogarniać ją zarzynąła. Pochyliła głowę na poręcz ławki i mocno wciąż trzymając przy piersi sennego też Elfa - usnęła. Na świecie robiło się coraz ciemniej; siekiera stróża umilkła, w oknach oficyny zgasł blask ognia, drobny, gęsty deszcz wciąż bez najlżejszego szelestu spadał na ziemię i tylko po rogach pałacyku z blaszanych rynien ciekły z monotonnym szelestem wąskie strumienie wody.

Okolo północy dostukawszy się do stróża i na pytania swe otrzymawszy odpowiedź, że istotnie stróż widuje od czasu do czasu dziecko to, które mu wieczorem z chaty zginęło, Jan mularz z zapaloną latarnią wszedł na ganek i nad jedną z otaczających go ławek stanął jak skamieniały. Stał, patrzył, wstrząsał głową i, nie wiedzieć dlaczego, grubą ręką swą, z niechcienia niby, przesunął po oczach, podniósł potem w silnych ramionach swych dziewczynkę, która obudziwszy się, senna, spłakana i słaba, rozpaloną twarz swą na ramię jego zwiesiła. Zniósł ją z ganku i szybkim krokiem ku chacie swej z nią podążył. Biorąc Helkę odrzucił precz śpiącego na piersi jej Elfa, który też w milczeniu poszedł znowu pod ławkę i ciężko wzdychając zwinął się w kłębek na mokrej podłodze ganku.